



Kazimierz
Przerwa-Tetmajer
Romans
panny Opolskiej
z panem Główniakiem

universitas

Romans
panny Opolskiej
z panem Główniakiem

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Kazimierz
Przerwa-Tetmajer

Romans
panny Opolskiej
z panem Główniakiem
Anegdota

© Copyright by Towarzystwo Autorów i Wydawców
Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2004

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:
Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Romans panny Opolskiej
z panem Główniakiem. Anegdota*, Warszawa 1912.

Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad
ortograficznych i interpunkcyjnych.

ISBN 97883-242-1030-5
TAiWPN UNIVERSITAS

Korekta
Mirosław Ruszkiewicz

Projekt okładki
Ewa Gray

Z turkotem i rozpędem zajechało kilka lekkich pojazdów, w dobre konie zaprzężonych, przed dwór czy pałac, jak go także zwano w Kresowicach. Z pierwszego wózka, chwyciwszy rajtpajcz za plecami położony i rzuciwszy lejce chłopcu stajennemu, ponad stopień, prosto na ziemię wyskoczyła panna Helena Klementyna Opolska i poczęła wołać do przybyłego wraz z nią towarzystwa:

– Wysiadajcie! Wysiadajcie! Musicie być głodni!

Towarzystwo wysypało się z wolantów, wózków i amerykańów. Sama młodzież, młode panny, młodzi chłopcy, wszystko z wiejska ubrane, suknie podpięte, sztylpy i buty z cholewami, wszystko ochocze, zdrowe i przystojne.

– Proszę! – wołała panna Opolska. – Chodźcie!

Młodzi ludzie nie weszli, ale raczej wpadli na wyścigi po kilku wysokich schodach w ogromną sień, gdzie na ich powitanie wylazł rosły, o głupim wyrazie wąskich, skośnych oczu pies, jakaś mieszanina brytana i doga i podniósłszy wielki łeb w górę, patrzył na przybyłych.

Nim zawieszono na kołkach peleryny, płaszcze i kurty zwierzchnie, wszedł do sieni z dziedzica Jan Główniak, nauczyciel ludowy z Kresowic i zarazem nauczyciel ośmioletniego Jacusia Opolskiego, brata panny Heleny Opolskiej.

Główniak starał się przejść niepostrzeżony pod lewą ścianą sieni, ale pies zastąpiwszy mu drogę i wyszczerzywszy zęby, począł warczeć.

Główniak zatrzymał się zakłopotany. Pies był ogromny.

Działo się to tuż przy ścianie, za plecami kilku tyłem do niego odwróconych panien, pośród których stała panna Opolska; panny żywo rozmawiały, poprawiając na sobie ubranie i przyglądając sobie naprędce włosy.

Główniak czuł straszną i upokarzającą katastrofę przed sobą. Nawet krzyknąć na psa się lękał, aby jej nie przyspieszyć. Widział to, że jeszcze moment, a głupi i zły pies rzuci się ku niemu ze zgubniejszym, niż możliwe rany, upokarzającym hałasem.

Wtem świsnął rajtpajcz, gruby i twardy, z ręki panny Opolskiej z tak wściekłą siłą uderzając w łeb psa, że pies przypadł pyskiem ku ziemi, drugi zaś cios, nie słabszy od poprzedniego, w bok wymierzony, w przednią łopatkę, zmiotł go z drogi przed Główniakiem.

– Dzię-dziękuję – poczęło się bełkotać Główniakowi w ustach.

Ale panna Opolska zaledwie odwróciła głowę i zaledwie spojrzała nań. Nie przerwała rozmowy z towarzyszkami.

Główniakowi zdawało się, że się uklonił i poszedł dalej, na lekcję z Jacusiem, niesłuchanie zmieszany, zawstydzony i wzruszony.

– Kto to jest? – zapytała panny Heleny panna Tonia Rapciszewska. – Śliczny chłopak!

– To? Nauczyciel Jacka. Pan Główniak.

– Jak?!

– Główniak.

– Zmiłuj się! Nie może być! – i panna Rapciszewska parsknęła śmiechem.

Z kątów szafirowych ócz panny Opolskiej, podobnych do zamgłego jeziora, strzeliły ku niej złe ognie, ledwo widoczne. Panna Rapciszewska nie spostrzegła ich wcale.

Wesołe, gwarne, swobodne i ożywione, przemrożone trochę chłodnym ranem listopadowym i rozruszane przejażdżką, której panna domu nadała szalone tempo, towarzystwo runęło do sali jadalnej. Był to dzień dwudziestego trzeciego listopada, świętego Klemensa, dzień imienin ojca panny Opolskiej, pana Klemensa Opolskiego (herbu własnego Opolski z Opolska i Kresowic Pastewnych), a zarazem także rodzaj imienin panny Opolskiej. Rodzina i sąsiedztwo zjechali się licznie.

Bo w tej okolicy, dalekiej miastom i zapadłej w lasy, szlachta siedziała jeszcze gęsto po wsiach dziedzicznych i jeszcze żyła tam tradycja obchodów rodzinnych i sąsiedzkich zjazdów w całej pełni. Nie żałowano sobie.

– Więc. Ile razy idzie dziewiętnaście w stu? – pytał Główniak Jacusia Opolskiego, siedząc w jego pokoju przy lekcji.

– Dziewiętnaście w stu?... Dziewiętnaście w stu?... Cztery razy.

– Hm... Co jest większe: dwadzieścia czy dziewiętnaście?

– Dwadzieścia.

– Więc. Ile razy idzie dwadzieścia w stu?

– Pięć razy.

– Widzisz. No to ile razy idzie dziewiętnaście w stu?

– Cztery razy.

– Jakże? Kiedy dziewiętnaście jest mniejsze od dwudziestu?

– No to właśnie.

– Jak to?

– No bo jak jest mniejsze, to musi iść mniej razy.

– Jacuś! – wykrzyknął Główniak z rozpaczą, kiedy do pokoju weszła panna Opolska.

Główniak zerwał się na równe nogi z krzesła, aby się uklonić, ale panna Opolska nie patrząc nań, z wydętymi wargami, choć przybladła na twarzy, unicestwiła jego ukłon więcej mrugnięciem oczu niż skinieniem głowy i odezwała się do brata:

– Jak skończysz dziś lekcję, prędzej niż zwykle przyjdź na śniadanie.

– To jest – otwarł usta Główniak – jak prędko? Mamy jeszcze niemiecki i religię.

– Może być i zaraz. Mama zapomniała pana kazać uprzedzić. Dziś imieniny papy.

– A! To ja... to więc...

Ale panna Opolska skinęła znowu oczami Główniakowi i wyszła z pokoju.

– A Helenka to zawsze dla jakiegoś rezonu przyjdzie, jak pan ma lekcję ze mną – zauważył Jacuś.

Główniak nie usiadł już, lecz położył bibułę na cyfrach pięć tysięcy sześćset osiemdziesiąt cztery, podzielone przez dziewiętnaście, zamknął zeszyt i rzekł do Jacusia:

– Więc idź.

– Już?

– Papy imieniny.

– Bonżur panu! Przyjdzie pan po południu szczudła robić?

– Dziś? Nie. Goście.

– No to cóż? Pan przecie do gości nie pójdzie.

Nie czekając wyleciał Jacuś z pokoju.

Główniak uczuł w sobie diabła nieprzyjaciela. Ten radził mu iść powinszować panu Opolskiemu.

Po co? Na co? Kto dbać może o powinszowania nauczyciela ludowego? Goście, obcy ludzie, wyniosły pan Opolski, lodowo grzeczna pani Opolska – po co, na co? Zawadzi się, potknie, zapłacze się w suknię, język mu skołtęczy – po co, na co?

Jednak szedł śladem Jacusia przez salę bilardową i pokój myśliwski w stronę sali jadalnej, zamiast wyjść przez pokój francuski prosto z pokoju Jacusia do sieni.

W pokoju myśliwskim, niegdyś zwanym fajczarnią, a dziś służącym za pokój do palenia po obiedzie i do gry w karty, spotkał kamerdynera

Franciszka, który tam stoliki ustawiał do winta po śniadaniu przed obiadem.

– Dokądże to pan profesor? – zapytał przebijając spojrzeniem na wskroś Główniaka.

– Imieniny pana dziedzica – odpowiedział Główniak zbity z tropu zupełnie. – Chciałem powinszować.

– Myśmy już winszowali – odpowiedział dumnie lokaj.

Główniak nie wiedział, czy go rznąć w pysk, czy się zabrać i wynieść. Wybrał to drugie.

* * *

„Ach, jak strasznie, jak strasznie jestem zmęczony... Siły moje się rwą i mam uczucie konia, który pod górę ostatkiem sił pod batem furę piasku ciągnie. Cóż robić?

Upadek mój jest pewny. Jeszcze lat parę, jeszcze rok – nie mogę dłużej, nie mogę dalej.

Oczy moje ślepną, mózg mój załamuje się, całe ciało, cała dusza odmawia mi służby.

Od lat dwudziestu sześciu nie wyrzaleń za miasto.

Naprzód utrzymywałem rodziców i siebie – teraz utrzymuję rodzinę i siebie.

O przekłeta chwilo mego małżeństwa!

Przekłeta żono! Przekłete dzieci!

Wyście to wyssały krew z mego ciała, pożeracie mnie żywcem.

Po co jesteście? Po co was tyle?!

Ja was nawet kochać nie mogę, bo nie mam na to czasu. Nawet na kochanie mojej żony i moich dzieci nie mam chwili wolnej.

Tylko czuję, jak ginę pod waszym ciężarem, jak się zapadam w przepaść.

Jedno, drugie, trzecie i ona, żona moja.

Pracować. Pracuję dzień i noc, wiecznie, ciągle, bez wytchnienia. Zdaje mi się, że nawet we śnie pracuję.

Pracuję na was lat dwanaście. Dziękuję Bogu, że rodzice moi pomarli przed wami naturalną śmiercią, bo obecnie poutmieraliby z głodu.

A przede mną upadek.

Zapadnięcie się jakieś straszne, zniknięcie z powierzchni ziemi.

No nic – ktoś bo ja jestem?

Rozpaczliwy rzeźbiarz, rozpaczliwy artysta, zarabiający w najświetniejszych epokach do tysiąca pięćset franków rocznie.

Nie mam talentu, nie mam zdolności, nie umiem dosyć, jestem do niczego.

O tym wszystkim wiem.

I dlatego żyję w nędzy i dlatego od lat dwudziestu sześciu nie wyszedłem za miasto, bo gdy zobaczę wolny świat, ziemię, niebo: ból mój, cierpienie moje potęguje się, wzmacnia tym więcej, chce pierś moją rozsadzić.

Cierpię.

Strasznie, nieludzko, okropnie cierpię.

Lecz cierpienia moje, moja walka z moją chorą duszą, moja walka z moim chorym ciałem, moja walka z moją nędzą i z nędzą mojej rodziny jest niczym wobec strachu mego o jutro, wobec tego śmiertelnego lęku.

Ci wszyscy moi – Boże! – ci wszyscy moi mogą zostać bez chleba! Gdybym umarł, gdybym zachorował – Boże mój!

Więc dlatego, że mam za mało talentu, że za mało umiem, takie ma być życie moje?!

Takim ma być piekłem, taką męczarnią?!

I nikt, nikt nie jest obowiązany się mną zająć, mną, człowiekiem, który przez lat pięćdziesiąt pracowałem, chciałem czegoś, siłilem się, miałem nadzieję, że zdobędę nic więcej, tylko pewny i dostateczny choćby kęs chleba dla mej rodziny i siebie.

I do nikogo, do nikogo ja się zwrócić nie mogę, nigdzie szukać pomocy?

Bo nie ma nikogo powołanego, przeznaczonego na to?

A to bydlę bogate, opływające w dostatki żyje i plwa na mnie, jak na śmietnik, bom nędzarz?

I nikt nie jest obowiązany...”

Panna Opolska zamknęła książkę.

Była noc listopadowa, mroźna i widna. Księżyc świecił na nowiu i gwiazd tysiące błyszczało w niebie.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do pierwszej.

Po kolacji tańczono dwie godziny. Ponieważ nazajutrz miało być polowanie, o północy towarzystwo imieninowe rozeszło się spać.

Panna Opolska poszła do swego pokoju na piętro i tam w ubraniu wieczorowym położyła się na łóżko i poczęła czytać powieść, tłumaczoną ze szwedzkiego, *Los*.

Wstała.

Nie mogła dłużej leżeć.

Suknia nierozsznurowana była jej ciasna, wszystko ją irytowało, drażniło ją.

Tupnęła nogą w dywan i odrzuciła precz książkę.

Wyjęła z szafy grubą tyrolską pelerynę, wzięła w rękę szpicrutę, za pasek wetknęła sztylet wenecki w pochwie i otworzyła drzwi.

Światło elektryczne świeciło na schodach. Zeszła cicho na dół, otworzyła z klucza tylne drzwi od ogrodu i wyszła na dwór.

Szła szybko przez ogród, przez ciemne aleje, z ogrodu kwietnego dostała się do sadu, z sadu do inspektów i ogrodu warzywnego i stanęła nad dużą sadzawką, na której brzegu przypięta była do palika łódź. Odpięła ją i wskoczywszy, kilkunastu silnymi pchnięciami wiosł po głębi przepłynęła na drugą stronę. Była poza obrębem dworskim.

Szła dalej przez puste pola. Opodał widniały ciemne sylwety chałup: w jednym tylko oknie w dużym budynku na skraju wsi, a raczej poza wsią, jaśniało światło.

Panna Opolska szła prosto ku temu światłu.

Rosło ono jej w oczach, aż ujrzała wyraźnie kratę oprawy szyb. Podsunęła się pod samą ścianę. Okno było niezasłonięte. Zajrzała wewnątrz.

Z głową opartą na rękach, drzemiąc czy myśląc, siedział nauczyciel ludowy, Główniak, przy drewnianym, różową bibułą przykrytym stole; obok stał garnuszek prawdopodobnie z herbatą, leżały chleb, nadkrojona kielbasa i nóż.

Spał albo myślał.

Widać było jego łóżko przykryte derką, podobną do końskich derk; na łóżku spała na derce brzuchem na dół dziewczka wiejska, obrócona twarzą do ściany.

Panna Opolska zapukała do okna.

Nauczyciel nie usłyszał.

Zapukała drugi raz mocniej.

Zerwał głowę z rąk, spojrzał w okno i nie poznając jej, spytał: Kto tam?

– Proszę puścić! – zawołała panna Opolska.

Widziała, jak nauczyciel podniósł się z krzesła i w pomieszczeniu rzucił na śpiącą dziewczynę jakiś paltot w pośpiechu schwycony z kołka, znać było jednak, że nie wie, kto go nawiedza.

Panna Opolska nie czekała; podstąpiła pod drzwi i zapukała bardzo silnie, zarazem ruszając klamką. Nauczyciel przekreślił klucz w zamku i uchylił drzwi.

– Czego chcecie, kobieto? – zapytał. – Noc.

Jak piorunem rażony cofnął się na środek pokoju.

Panna Opolska stała naprzeciw niego, zarumieniona od nocnego zimna i szybkiego marszu.

– Pani?!... Jezus Maria!... Pani?...

– Tak, ja – odpowiedziała.

Nauczycielowi wydawało się, że zwariował. Cofał się w tył, aż się oparł tyłem o stół pod przeciwną ścianą.

Panna Opolska zaś usiadła na łóżku, odsuwając nogi dziewczki, leżącej na nim.

Dziewka nie obudziła się.

Nauczyciel stał przed nią blady jak trup i zupełnie niezdolny zapamiętać nad sobą.

Patrzył na nią i widział jej kasztanowate, w rudawy odcień wpadające włosy, jej oczy szafirowe, podłużne, podobne do przymglonego jeziora, jej twarz okrągłą z prostym, nieco w górę wzniesionym nosem o niewąskich nozdrzach i ustach z grubą wargą dolną, twarz jednak z tym wszystkim rasową i ładną, pod opadłą zaś z jednego ramienia peleryną widział w srebrzystej wieczorowej sukni jej ciało bujne, pełne, wyzywające ponętą. Ośłupiał i zgłupiał. Majak, czy co?

Ale ona siedziała naprzeciw niego i patrzyła mu w oczy prosto, bystro i śmiało.

Nagle trzepnęła w tył płaską dłonią dziewczkę śpiącą na derce i zawołała:

– Magda, czy tam Wikta, obudź się!

Dziewka uderzona mocno, ocknęła się od razu ze snu i poczęła pytać przestraszona: Co? co?

– To ja, panna z pałacu – rzekła panna Opolska. – A ty czyja?

– Od Miętusa, proś łaski jaśnie panienki, Kasia – odpowiedziała, nie zdając sobie z niczego sprawy, z tęgiego snu obudzona dziewczyna.

– Z Polanki? Od Miętusów?

– Tak tys, proś łaski jaśnie panienki, stamtąd.

– A ty tu co robisz, o dwie mile w Kresowicach?

Dziewka, nie więcej lat szesnastu, bardzo ładna, bruneta, ze świecącymi czarnymi oczami i wiśniowymi ustami, zakręciła dziurkę od paltota nauczyciela Główniaka na palec i odpowiedziała, chyląc z wdziękiem głowę na prawe ramię:

– Ja tu chodzę, proś łaski jaśnie panienki, bo mi sie tys nauczyciel strasznie spodobali... My się kochamy.

Jeszcze więcej schyliła twarz.

Panna Opolska wstała. Różowa jej dosyć z natury i zaczerwieniona od chłodu twarz stała się blada jak płótno. Wyprostowała się i wyszła, pozostawiając za sobą drzwi półotwarte.

– Kasia! – krzyknął jak nieprzytomny Główniak. – Czy mi się śniło?!

– Kaj ta! Wyciena mie fest! Dyc to panna ze dworu, kresowicka.
Nauczyciel rozepchnął okno – w mroku widział ciemny kształt.
Panna Opolska oddalała się, ale nie szła w stronę pałacu.

Biec za nią?... Czy?...

Nie śmiał.

Usłyszał w uszach świst rajtpajcza, którym pies dostał w łeb.

– Kasia! – zwrócił się do dziewczyny.

Ale ta już spała na nowo.

– Zwariowałem!

Lecz nie – jeszcze tam, w polu pustym, majaczyła w ciemnościach za oknem postać panny Opolskiej.

Nauczycielowi ludowemu począł się kręcić w głowie świat. Na koniec jakąś obcą sobie siłą pchnięty runął, nie zamknąwszy okna, na krzesło przy swoim stole. W mózgu kotłowało mu się wszystko. Przez sen słyszał mruczącą Kasię:

– Ale po co haw przyszła? Hale! Pedziałbyś!

* * *

Główniak siedział jak zatumaniony. Na krzesło przy swoim stole padłszy, głowę w tył przez poręcz przewiesił, nogi wyciągnął i nie mógł się wyznaczyć w swych myślach. Miał uczucie, jakby go przeszył prąd elektryczny od czuba głowy aż do pięt. A jednak niezawodnie – panna Opolska była tu, w jego pokoju czy izbie podrapanej, siedziała na jego łóżku, widziała Kasię Miętuskę, mówiła z nim, mówiła z nią. To jednak było niezawodne.

Oszalała!...

Lecz naprawdę, istotnie panna Opolska nie zdradzała w niczym najłżejszego szaleństwa. Wyglądała przytomnie, patrzyła przytomnie, odzywała się przytomnie.

Więc co?...

Główniak czuł się otoczony nieprzejrzanym tumanem ciemności.

I jak zwykle w takich wypadkach naszło mu na myśl rozpamiętywanie.

Gdy przysłała go do Kresowic na miejsce ustępującej nauczycielki, panny Murcińskiej, rada szkolna we Lwowie, przyjechał on jako zdeklarowany socjalista, buntownik przeciw wszelkim ludzkim porządkom, wróg wszystkich sfer posiadających, burżuazji i szlachty, z zamiarem najbardziej wrogiego zachowywania się i występowania wobec plebanii i dworu, a najściślej zżycia się z chłopami, stania się rzecz-

nikiem ich sprawy, ich obrońcą, ich doradcą, mścicielem ich krzywd, w razie potrzeby ich wodzem, a przede wszystkim mesjaszem pomiedzy nimi idei najskrajniejszego socjalizmu. Było to trzy miesiące temu, od nowego roku szkolnego, po wakacjach.

Atoli wszystko okazało się od razu wprost przeciwnym wyobrażeniom Główniaka. Chłopi nie byli ciemiężeni przez nikogo, ani okradani przez dwór, ani wyzyskiwani przez księdza, nie żyli w ostatniej nędzy, lecz owszem mieli się w ogóle dość dobrze, a przede wszystkim nie powitali go z entuzjazmem jako swego sprzymierzeńca, ani ze ślepym zaufaniem do jego wiedzy i inteligencji, lecz przyjęli go zimno, okazując mu nadzwyczaj wiele niedowierzania i nieufności, a drugie tyle lekceważenia. Po kilku zaś dniach wójt go wezwał do siebie i nie poprosiwszy nawet siedzieć, wypalił mu z miejsca reprimendę, pouczając go o jego obowiązkach, jako coby dzieci nie bił, uczył po Bożemu i po katolicku, księdza szanował, dla dworu był obyczajny, wódki nie pił, dzieuch nie zacypiał, nikomu na zdradzie nie stał i żył tak, jak sobie Pan Bóg i pon starosta zyczy, bo jak nie, to siedzenia nie zagrzeję i pudzie, skąd przysed.

Proboszcz, ksiądz Jakub Stangrecik, nie był ani wyzyskiwaczem, ani otumaniaczem ludzi; był to człowiek światły i rozumny, patriota, demokrat i postępowiec, jezuitów i jezuityzmu nie cierpiał i starał się nie tyle o odmawianie różańca, ile o moralność i uszlachetnianie dusz swych parafian.

Dwór kresowiecki nie był również w żadnym wrogim stosunku z chłopami. Opolscy siedzieli na swoim majątku piąty wiek i w żadnej głowie chłopskiej nie świeciła nawet myśl, aby kiedykolwiek miało i mogło być inaczej.

„Panowie Opolscy póki wolno było bić, to bili, a jak ustało być wolno, to bić ustali” i – było w porządku. Nikt do nikogo żalu nie miał. W czterdziestym szóstym roku zabito wprawdzie dziadka obecnego dziedzica, zabito również jego brata stryjecznego i dwóch innych krewnych, zabito dalej dziadka po matce pani Opolskiej, „ale tak było wtedy wszędy” – a potem nastąpiła zgoda i nawet się we dworze w Kresowicach „skła nieozbitego duzo znalazło”.

Jan Główniak, syn i wnuk sklepikarki z Krakowa, mający pojęcie o stosunkach wiejskich z książek i mów, przede wszystkim Żydów socjalistów, zatrzymał się w rozpędzie, jakoby nosem o barierę zaraz z początku biegu uderzył.

W kilka tygodni po przybyciu, około piętnastego września, ksiądz Stangrecik zapytał go, czyby nie chciał udzielać lekcji małemu Opol-

skiemu, przygotowującemu się do szkoły w domu. Główniak zgodził się; zgodził się z dwóch powodów: raz, że z tym, co mu płacono jako pensję i z pomocą życzliwych gospodarzy w Kresowicach ledwo mógł wyżyć, po wtóre, że czuł rozpoczynając się misję zatruwania robaka zgniłych pojęć i przekonań w duszy dziecka nienawistnej mu warstwy. Dumny i zuchowaty, w butach wysokich i zabłoconych, tak jak stał, drwiący z przesądów, kast i różnicy stanów, poszedł do dworu.

Tam przede wszystkim na dziedzińcu napadł go Hultaj, od którego go ledwie obroniły dziewczki czeladnie, co zbiło z tropu i wiele odjęło fantazji Główniakowi, choć rozjadło jego duszę słusznym oburzeniem na psy, wychowane w ten sposób; następnie lokaj nie chciał go puścić do pokoju i nie wiadomo, czy byłby dotarł do dziedzińca, gdyby nie równoczesne niemal zajechanie przed dwór młodej panny konno.

– Kto to? – zapytała rozkazującym głosem lokaja.

– Nie wiem; chce do jaśnie pana – odpowiedział lokaj.

– Interes? – zapytała panna Główniaka.

Główniak pod obojętnie wyniosłym wzrokiem panny i wobec jej sposobu mówienia, mimo całej niezależności swego ducha i poczucia równości, zmieszał się fatalnie.

– Nauczyciel – odpowiedział nie tyle głośno i dumnie, ile był powinien.

– Ksiądz Stangrecik przysłał pana? – pytała dalej panna.

– Tak.

– No, to czemuż się pan nie zameldował służącemu? Byłby pana puścił.

Panna odwróciła głowę i kazawszy lokajowi konia wziąć, zsunęła się z siodła i średnio wysoka, smukła, choć tęga w biuście i w biodrach, poszła naprzód po schodach, a Główniak poszedł za nią.

Wszystko w nim wrzało. Pies go napadł, lokaj go nie chciał puścić, jego, nauczyciela, człowieka z inteligencją, ten sługus, fagas, ten podły cham!...

Przebył wielką sień i wstąpił za panną do sali, na której środku stał ogromny stół, naprzeciwko drzwi wchodowych wspaniały kredens, pod ścianami zaś poustawianych było sporo krzeseł o wysokich oparciach, ciemną skórą wybitych, a na której ścianach wisiały portrety mężczyzn w kontuszach i zbrojach, kobiet w koronkach, krezach i wygorsowanych. Na portretach były z boku często malowane herby, najczęściej dwa czerwone topory, złożone w krzyż, środkiem ostry miecz, ostrzem w dół, w tarczy błękitnej. U wszystkich drzwi były ogromne, ciężkie karmazynowe kotary. Z pogardą i szyderstwem patrzył na to Główniak.

Panna zawołała w drzwi: „Mamo! Nauczyciel!” – i skinąwszy mu głową, weszła w inne, tak jakby go za nią wcale nie było.

Niebawem wybiegł z sąsiedniego pokoju mały chłopczyk w granatowej bluzeczce, lakierowanych wysokich cholewkach i spodenkach ze stalowymi klamerkami niżej kolan, a za nim ukazała się wyższa od panny i wcale do niej niepodobna pani, lat koło czterdziestu, o twarzy suchej, ściągłej, z nosem orlim, dumnie wspaniałym.

– Pan nauczyciel? – spytała, lekko witając głową.

Pod lodowatego spokoju wzrokiem i wobec przebijającej suchej wytworności tej osoby, pogarda i szyderstwo oraz duma, zuchowatość i poczucie niezależności na podkładzie równościowym Główniaka gdzieś się podziały doszczętnie. Usiłował on je odnaleźć w sobie, gdy pani Opolska wymieniała mu godziny, rodzaj lekcji, warunki finansowe i zakończyła: zatem od jutra, jeśli pan łaskaw, od dwunastej do drugiej, a jeśli to panu nie robi przykrości i różnicy, to w długich spodniach. Do widzenia. Twój nowy nauczyciel, Jacusiu!

Główniak zawrócił się ku wyjściu, zły, upokorzony, wzburzony, najwięcej zły na siebie samego. Nie będę uczył! Nie będę uczył! Nie wezmę lekcji! Niech ich diabli porwą! – wiło mu się w myślach.

Na dziedzińcu czekał go już pies. Rzucił się ku niemu natychmiast ze szczekaniem, ale w tej chwili z góry rozległ się przeraźliwy świst i ostry, doniosły kobiecy głos krzyknął rozkazująco:

– Na łańcuch psa!

Ale już z pomocą biegły znów dziewczki czeladnie, chichocząc.

Ach! Ileż wstydu! Ileż przykrości! Ileż upokorzenia!

Otrząsnął buty Główniak z prochu dworu kresowickiego, ale naza-jutrz, wzięwszy gruby kij w rękę, oczyściwszy starannie buty szwarcem, kupionym w kółku rolniczym, i w spodniach na buty spuszczonych, o godzinie dwunastej poszedł do dworu.

I nie dziw – poczęło go tam ciągnąć.

Spokój, cisza, dobrobyt, elegancja, ton życia, jaki odczuwał w tym domu, poczęły go nęcić. Już zaraz na drugi dzień podczas lekcji przed-obiedniej z dziećmi wiejskimi, myślał, że tam pójdzie nazajutrz. Coraz staranniej czyścił swoje ubranie i buty i starał się coraz piękniej siedzieć przy lekcji, choć nikt przy tym nie był obecny, tylko na drugiej przysłuchiwała się przez kwadrans niemieckiemu pani Opolska.

Podczas piątej lekcji weszła do pokoju panna Opolska. Szukała czegoś. Spotykał ją potem we drzwiach, czasem na dziedzińcu, bardzo często wchodziła do pokoju brata, zawsze jednakowo wyniosła i obojętna.

Pojawianie się i spotkanie panny Opolskiej wywierało na Główniaku wrażenie, doznawał pewnego wstrząsu, czemu się sam wcale nie dziwił, miał bowiem lat dwadzieścia i panna była ładna i pokaźna. Zaczęła mu się nawet „psiakrew” podobać, gdy przypadkiem los zetknął go ze śliczną wiejską dziewczyną, Kasią Miętusówną, która przechodziła po swoją małą siostrę o dwie mile z Polanki, gdzie szkoły nie było. Po kilku krótkich rozmowach już Kasię miał potajemnie u siebie, o pannie Opolskiej zaś pomyślał: „niech cię gęś kopnie!”.

Ile razy potem panna Opolska wchodziła do pokoju Jacusia lub spotykała go w drzwiach czy na dziedzińcu, Główniak starał się mieć równie obojętny wyraz twarzy, jak ona.

Nie mógł jednak się wstrzymać, choć czuł własną głupotę w tej mierze, od opowiadania Kasi Miętusównie o wewnętrznym wyglądzie dworu kresowickiego, o jego meblach, obrazach, kredensie, o ile to widział, fortepianie, o ile go słyszał z daleka, liberii służbowej, powozach, koniach i strzelcach, o ile co zobaczył.

Wizyta nocna panny Opolskiej miała w sobie coś niepojętego, coś, co przechodziło zupełnie granice jego pojęcia, jego wyobraźni, jego jestestwa po prostu. Zgłupiał.

I siedział na krześle taki głupi, aż się obudziła Kasia, przeciągnęła się do trzaśnięcia kości i spytała:

– Świta?

– Jeszcze nie – odpowiedział.

– Cosik sie mi śniło... Ze haw była kresowicka panna...

– Tak ci się śniło?

– Tak. Cosik gadała do mnie... Dała mi półkwaterek zimnego mlika pić... Potem mnie Cygan ścigał, chustke mi z głowy zdar... A pon nie spali?

– Nie.

Kasia ziewnęła i rzekła z przymileniem:

– Jesce noc – a jo sama?

– Już zaraz będzie dniało – odpowiedział Główniak, choć było dopiero wpół do trzeciej.

– Juz trza iść?

– Już. Blisko szósta.

– Ojej!

Kasia zerwała się na równe nogi.

– Jak to zleciało – rzekła. – Widzicie. Jo myślała, ze jesce cwortej ni ma. Musem lecieć, pókil noc. Biliby mnie matusia w chaupie! Jutro przyjść?

– Jak chcesz!

– A pon – – kcom? – zapytała nieśmiało i smutno dziewczyna.

Główniak nie wiedział czemu, ale chciał się jej pozbyć. Na tym samym łóżku siedziała panna Opolska w swojej srebrzystej sukni pod peleryną... Ale gdy usłyszał smutny i nieśmiały głos dziewczyny, zbliżył się ku niej i usta swoje przycisnął do jej ust wiśniowych i gorących.

* * *

„Ludko moja – pisała panna Opolska do swojej siostry ciotecznej, od roku zamężnej, z którą była w ścisłej przyjaźni – pytasz mi się, dlaczego od dwóch miesięcy nie odebrałaś ode mnie listu, a nawet na pierwsze imieniny Twego malutkiego Edzia nie posłałam mu „powinshawania”? Czy ty wiesz, skąd w tej chwili wróciłam? (Jest godzina druga w nocy.) Z pokoju, wyraźnie i dosłownie, z pokoju naszego nauczyciela wiejskiego, pana Jana Główniaka, który jest także nauczycielem naszego Jacusia.

Nie łam rąk, Ludko – *jestem jeszcze* panną Opolską.

Słuchaj.

Coś dziwnego się ze mną dzieje, coś, czego nazwać nie umiem i z czego sobie sama nie zdaję sprawy.

Pewnego dnia, we wrześniu, zjawił się u nas chłopak, może dwadzieścia lat, bardzo przystojny, w którym nie ma ani jednego nieordynarnego szczegółu, zaczawszy od kształtnej głowy, a skończywszy na niezbyt dużej i szerokiej stopie, albo raczej ordynarny mimo wszystkich szczegółów niebrzydkich, lub nawet więcej niż ładnych, jak oczy i usta. Ja zajeżdżałam konno przed ganek od dziedzińca, jego przed domem atakował pies podwórzowy, a potem go lokaj nie chciał wpuścić, gdyż miał buty wysokie i zabłocone i wygląd, jak nasz głupi Franciszek twierdzi, socjalistyczno-liberalny. Kazałam puścić i iść za sobą. Kiedy szedł za mną do mamy, jam go już czuła za plecami.

Jużem wisiała w oknie na piętrze, czekając, kiedy wyjdzie i z pasją kazałam psa zabrać na łańcuch, czemu się Jacek trzy dni sprzeciwiał, ale co w końcu, wskutek równej jak u Franciszka, u Hultaja antypatii do „socjalistycznych liberałów”, stać się musiało stałą regułą.

Wyobraź sobie, ja wisiałam w oknie już co dzień potem, kiedy szedł na lekcję i kiedy odchodził.

Potem zaczęłam go spotykać na dziedzińcu w sieni.

Potem pod różnymi pozorami zaczęłam podczas lekcji wchodzić